

nicy ma bezsprzecznie zasługę, że potrafił pozyskać i długo zatrzymać u siebie kompozytora i muzyka tej miary, co Adam Wroński.

Ryciny nasze przedstawiają portret jubilata oraz całą orkiestrę zdrojową z jubilatą, panem Wrońskim, w środku.

Jubileuszowy zjazd abiturientów krakowskiej szkoły realnej.

Uboga młodzież gimnazjalna ma z tysiącami trudności do walczenia w czasie długich a uciążliwych studyów. Prócz trudności, które następcza sama nauka — bo nie wszyscy przecież są równie uzdolnieni — jest brak materyalny lub ściśle mówiąc nędza lub głód, brak dachu i przyodziewu, a co najgorsza: brak pieniędzy na zakupno książek i przyborów szkolnych. Istnieją wprawdzie studenckie bursy, gdzie młodzi pensjonarze bezpłatnie lub za bardzo małą opłatą otrzymują mieszkanie, życie i opiekę domową, istnieją prywatne zapisy i rządowe stypendya, z których korzystać mogą ubodzy a pilni studenci. Są to jednak środki zbyt nikłe w porównaniu z ogromem nędzy, zagnieżdżonej pomiędzy szkolną młodzieżą.

To też piękną i wprost wzniosłą myśl podjął zjazd koleżeński abiturientów z r. 1880 realnej szkoły krakowskiej, zjazd, który odbył się w Krakowie dnia 2 lipca br.

Na wniosek jednego z uczestników p. Ludwika Steckiego uchwalono utworzyć fundusz zapomogowy, z którego odsetki będą nadawane przez abiturientów tejże szkoły ubogim a zdolnym kolegom, a to w kwocie 200 koron, jako jednorazowy zasiłek na przetrwanie pierwszych miesięcy nędzy, wśród walki o wywalczenie sobie źródła bytu na politechnikach lub innych wyższych szkołach fachowych.

Pod przewodnictwem posła i dyrektora p. Petelenza zebrał zawiązany komitet w dniu zjazdu kilkaset koron i rozesłał odezwę do wszystkich b. krakowskich realistów, by poparli, w miarę możliwości, cel tak piękny i szlachetny.

Pierwsza to dopiero fundacja, w której uczniowie, względnie abiturienti, mieć będą prawo rozporządzania odsetkami i wątpić nie można, że zapomogi otrzymają bez uciekania się do protekcji istotnej i zdolnej jednostki.

Rycina nasza, dołączona do niniejszego artykułu przedstawia grupę uczestników zjazdu b. abiturientów wyższej szkoły realnej w Krakowie z r. 1880 w 25 lat po maturze.

Szlachetnej inicjatywie z całego serca przyklasnąć należy.

Z Delatyna do Worochty.

IV.

Drugą perłą, po Jamnie, nadzwyczajnej ceny, jest Tatarów, czyli jak tego chce napis na stacyi c. k. kolei państwowej, oraz stempel c. k. poczty austriackiej „Tartarów“.

Od lat dziesięciu walczę słowem i piórem za ugratowaniem właściwej nazwy dla tej prześlizniętej miejscowości, przekreślonej przez Niemców.



Z Delatyna do Worochty: Cerkiew w Worochcie.

Skądże wzięła się ta nazwa? Tatarów, jak to już sama nazwa wskazuje, jest pierwotną osadą tatarską. Podług legendy miejscowej zapędzić się miał tutaj, pomiędzy niedostępne góry i dziewicze bory, jakiś czambulik tatarski, którego dowódca, oczarowany piękną okolicą, już się stąd więcej nie ruszył. Baśń stara dodaje, że ów tatar na kulbace unosił z dolin łup drogocenny, laszkę przedziwnej urody. Jeżeli tak było, jak to piękna ta baśń opowiada, nie dziwno, że dziki łupieżca tutaj sobie przybytek uczynił, i że dla klejnotu swojego taką wybrał oprawę. A może była to wola pięknej tatarskiej niewolnicy?

Otóż powracając do Tatarowa i do kochanych Niemców, to pierwsi „cywilizatorzy“ Galicji, sporządzając mapy katastralne, wciągnęli nazwę tej miejscowości do „amtsbuchów“, przetłumaczywszy ją całkiem „vorschriftmässig“ na niemieckie, a że tatar nazywa się po niemiecku „der Tartar“, zrobili zatem z Tatarowa „Tartarów“. Za ery polskiej, Polacy sięgnęli do „źródeł“ niemieckich i przepisali z map niemieckich, napisy polskie po niemiecku. W ten sposób Tatarów, w całkiem niewinny sposób stał Tartarowem i daje rozmaitym znakomitym filologom temat do dysput i uczonych rozpraw, dowieść chcących jak na dłoni, że uzdrowisko karpackie pochodzi w prostej linii od mitologicznego „tartarusu“.

Niechaj poczciwi filolodzy się bawią, my zaś wzięwszy sobie za towarzysza pierwszego lepszego huculę z „Tatariwa“ — jak to sam lud go nazywa —

puśćmy się w przepaściste jary i tajemnicze bory. Kraj to jeszcze dziewiczy. Spotkasz się tu z niedźwiedziem, żbikiem i czarnym odyńcem, a jelenie tutaj mają swoje stałe schronisko.

To też, od drugiej połowy września do połowy października lasy tatarowskie i jabłonieckie rozbrzmiewają trąbką myśliwską i graniem ogarów. W Tatarowie, kilka kilometrów od stacyi, wznosi się pałacyk myśliwski, księcia Lichtensteina, dzierżawcy tych lasów, w którym rezyduje niemiecki strzelec, a w polowaniach na grubego zwierzę biorą udział wyłącznie zagraniczni panowie. Powinniśmy i z tego być zadowoleni, Europa bowiem ma sposobność dowiedzenia się z tych źródeł czegoś o naszym „Bärenlandzie“.

Dla oka przeciętnego turysty, szukającego w Tatarowie nie dzikich bestyj, ale raczej wytchnienia i pokrzepienia się na siłach, tajemnice gór i borów tutejszych są zakryte. Nie przestraszajmy go także tem bliskiem sąsiedztwem mateczników i dzikich ostępów, a wejdźmy z nim w przejrzysty las.

Jesteśmy na znacznej wysokości. Tatarów wznosi się 671 m. ponad morzem. Powietrze czyste jak łąka. Ogarnia cię całkiem inna jakaś atmosfera. Życie jakieś otacza cię bujne. Jesteś jakby tem przeczystym powietrzem upity. Słońce tu jakieś jaśniejsze, widzisz daleko, czujesz się swobodnym niby ptak i chciałbyś się puścić z sokołami ponad Chomiakiem i Gorganami szybującymi, w zawody.

Rondo gór. Szczytami mchy, poniżej kobierce traw, dzwonek z misternie rzeźbionych sterczyków. Muszki falą złocistą w tęczy słonecznej bzykają, zresztą cisza jak na stepie akermankim.

Olbrzymie przestrzenie. Oko rozciąga promienie swojego wzroku szeroko i daleko, aż się opiera na siwiejącym w oddali, na ziemi węgierskiej, pasie gór czarnohorskich, Petrusie i Howerli.

Z Tatarowa prowadzi droga, bitym gościńcem, ponad prześlicznym Prutem do Jabłonicy, aż na Węgry, druga zaś leśna, do Worochty. Pominąć musimy pierwszą, choć z żalem serdecznym, bo jest to jedna z najpiękniejszych okolic tego przepyszego kraju, a podążymy do Worochty, która pozyskała sobie od lat kilku sławę wybornego uzdrowiska. Rezgłos swój zawdzięcza Worochta kolonii wakacyjnej, urządzonej tutaj od samego początku, przez stanisławowską dyrekcję kolejową dla ubogiej diatwy swoich funkcjonariuszów. Koło kolonii ugrupowały się wille ludzi zamożnych, stanęły piękne domki i pałacyki. Towarzystwo tatrzańskie, tj. jego oddział czarnohorski postawiło tutaj swój dworek, a księża polscy ufundowali sobie tutaj miłe schronisko, obok którego wznosił mury poważne piękny kościółek.

Z prawej strony ciągnie się od Worochty ku Tatarowi, popod Rebrowacz, romantyczna droga, jakby z koronek dziergana, z drugiej, koło cerkwi malowniczo położonej ku tartakowi, gdzie piła, dniem i nocą czynna, obok topora grasujących po tym romantycznym kraju rozmaitych spekulantów, dokonywa smutnego zadania jego „cywilizacji“.

S. B.



Z Delatyna do Worochty: Droga z Tatarowa do Worochty.